

Maciej Wierzyński

Trzy połówki życia



BOSZ *ludzie*

Ewie i chłopcom

Maciej Wierzyński

Trzy połówki życia

BoS*z ludzie*

BOSZ *ludzie*

Spis treści

Od Autora	7
Rozdział 1	
Jak zostałem bajzelmamą	11
Rozdział 2	
Jak trafiłem na front ideologiczny	33
Rozdział 3	
Nieudana dezercja z frontu ideologicznego	49
Rozdział 4	
O jeden upadek za dużo	81
Rozdział 5	
Schronienie na Woronicza	95
Rozdział 6	
Karnawał	107
Rozdział 7	
Wyzwolenie	121
Rozdział 8	
North Suburban Yellow Cab	139
Rozdział 9	
Szmatedistrict	151
Rozdział 10	
Kraj, w którym nic się nie dzieje	173
Rozdział 11	
Pomyłka Pana Boga	187
Rozdział 12	
Ostatni gasi światło	201
Rozdział 13	
Wstawanie z kolan	223
Rozdział 14	
Przyjaciele	239
Rozdział 15	
Rodzina	263

Od Autora

Mike Royko – zupełnie nieznana w Polsce znakomitość amerykańskiego dziennikarstwa – książkę o słynnym burmistrzu Chicago zatytułowaną *Boss* zadedykował swojej rodzinie, przepraszając za „wszystkie stracone niedziele” – *for All Sundays missed*. Pracował nad nią w wolnych chwilach, których miał niewiele. W czasie, kiedy inni zajmowali się dziećmi, wnukami, domem, ogrodem, Royko pisał.

Ta książeczka też powinna być zadedykowana wszystkim, którzy przez swoją wyrozumiałość pozwolili na jej powstanie. Zadłużony jestem wobec rodziny – i to nie tylko z powodu straconych niedziel, niedokończonych, a czasem nawet niezaczętych rozmów, popsutych wakacji.

Zadłużony jestem też wobec firmy, w której od trzynastu lat pracuję. Kiedy wróciłem do Polski i z polecenia Mariusza Waltera rozpocząłem pracę w TVN24, miał to być epizod łagodnie przygotowujący mnie do emerytury. Wtedy TVN24, jak i cała reszta polskich mediów, bardzo mi się nie podobał. Po trzynastu latach dalej widzę liczne słabości tego przedsięwzięcia, ale nie mam żadnych wątpliwości, że bez TVN24 polska demokracja byłaby znacznie gorsza. Trzecią połówkę życia spędziłem właśnie w tej stacji i nie był to pobyt w miejscu, w którym nic się nie dzieje. Jestem za to wdzięczny wszystkim starszym i młodszym kolegom z Wiertniczej 166.

Bogdanowi Szymanikowi, z którym razem pracowaliśmy w North Suburban Yellow Cab, dziękuję, bo bez jego energii ta książeczka nie zostałaby wydana.

Nie wszystko, co powinno zostać opisane, znalazło się na kartach tej książki. Nie wszystkim przyjaciołom oddałem to, co od nich dostałem. Niech mi wybaczą. Pozostanę w poczuciu winy.

Czwartej połówki życia nie będzie.



Wyjaśniam, jak naprawdę wygląda świat. W studiu TVN24 z Łukaszem Jedlińskim

Rozdział 1

Jak zostałem bajzelmamą

Do dziennikarstwa trafiłem przez przypadek. Kiedy młodzi ludzie myślą o tym, co będą robić w przyszłości, ja marzyłem, że zostanę sportowcem. Jeśli nie sportowcem, to przynajmniej trenerem. Uniemożliwił mi to ojciec, który – kiedy chciałem zmienić studia geologiczne na Akademię Wychowania Fizycznego – powiedział, że jak skończę jedno i usamodzielnię się, to potem mogę zaczynać drugie. Ale już na własny rachunek.

Na geologię trafiłem także przez przypadek. Maturę robiłem w 1954 roku. Mniej więcej rok po śmierci Józefa Stalina. Pamiętam dobrze, że kiedy Stalin był już nieprzytomny, władza zadbała o to, żeby stopniowo wprowadzać naród w żałobny nastrój. W radiu uroczystym tonem czytano komunikaty o zdrowiu Stalina, towarzyszyły im poważne i smutne melodie. Po takim przygotowaniu było całkiem naturalne, że dyrektorka naszej szkoły, Maria Pawułowa, oznajmiając nam na porannym apelu śmierć „inżyniera naszych marzeń”, zalała się łzami. Stalinizm w Polsce nie odszedł jednak z dnia na dzień, razem ze śmiercią jego twórcy. Studia humanistyczne, do których miałem skłonności, jeszcze długi czas potem były skażone politgramotą.

Politechnika mnie nie interesowała, a prawdę mówiąc, wydawała mi się za trudna, więc wybrałem coś pośrodku: studia przyrodnicze na uniwersytecie, czyli geologię. Decyzję ułatwił mi

przyjaciół i kolega z klasy, Jacek Szymanko. Pochodził z rodziny przedwojennych lewicowców, ludzi ideowych, niekoniuunkturalnych. Realny socjalizm, zwłaszcza w wydaniu stalinowskim, musiał być dla nich bardzo bolesny. Podejrzewam, że Jacek nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić po maturze, i z podobnych jak ja przyczyn wybrał geologię. Poszedłem za nim, choć nie wiedziałem dokładnie, czym jest ta geologia.

Chociaż nie. Rok przed maturą byłem na wakacjach w Zakopanem, chodziłem trochę po górach. Kupiłem sobie wtedy książeczkę Edwarda Passendorfera *Jak powstały Tatry*. Czytałem ją z zaciekawieniem, ale nie dla opisów procesów geologicznych, którym Tatry zawdzięczają istnienie. Wciągnęły mnie opisy wycieczek po Tatrach, szczególnie po słowackiej stronie. Stalinizm to był czas trudnej dziś do wyobrażenia izolacji. Nawet takie słowackie nazwy jak Rohacze albo Niewcyrka, nie mówiąc o Zuberzcu, pachniały egzotyką niczym Himalaje. W ten sposób, z tej tęsknoty za innym światem, mimo woli zostałem studentem geologii.

Niestety, oprócz chodzenia po górach geologia wymagała całkiem poważnej nauki – i to była przykra niespodzianka. Musieliśmy wkuwać na pamięć jakieś niekończące się litanie skamieniałości przewodnich i – co było jeszcze trudniejsze – rozpoznawać ich szczątki zasklepione na wieki w odłamkach skał. Nie byłem w stanie się tego nauczyć, poważną przeszkodę stanowił też skok o tyczce.

Uprawiałem go pod kierunkiem Ludomira Nitkowskiego i to była okoliczność szczęśliwa. Lutek – tak nazywaliśmy naszego trenera – to postać nietuzinkowa. Był trenerem z AZS-u, ale brał pod opiekę każdego, kto zdradzał minimum zdolności i chęć do skakania, bez względu na przynależność klubową. Nie dostawał za to żadnych dodatkowych pieniędzy i dziś pewnie skończyłby w kryminale, oskarżony o niegospodarność i działanie na szkodę pracodawcy, bo przecież uczył skakać rywali klubu AZS.

W 1956 roku, kiedy zbliżał się już Październik, nasze treningi zamieniły się w klub dyskusyjny. Lutek dawał nam do czytania „Po Prostu” i dyskretnie kierował naszymi rozmowami. W parku Skaryszewskim, gdzie trenowaliśmy, spotykaliśmy wypuszczonego właśnie z kryminału Gomułkę na niedzielnych spacerach. Niewielka obstawa towarzyszyła mu dyskretnie kilka kroków z tyłu. Ten zwyczaj niedzielnych przechadzek zachował jeszcze przez parę miesięcy po tym, jak został pierwszym sekretarzem.

To mniej więcej w tym czasie – za sprawą tyczki i dyskusji politycznych – stawało się coraz bardziej oczywiste, że geologia nie jest moim powołaniem. Musiałem jednak brnąć w to dalej z powodu wcześniej wspomnianego sprzeciwu ojca. Za to czytanie „Po Prostu” miało wpływ na mój stosunek do dziennikarstwa i moje przyszłe wybory życiowe: ten fach nie wydawał mi się odrażający. Wątpliwości przyszły później, po kilkunastu latach pracy na froncie ideologicznym. Wtedy – za czasów październikowej odwilży – po gazety ludzie stali w ogonkach pod kioskami, a dziennikarzy „Po Prostu” traktowano jak bojowników walki o prawdę, racjonalność, normalną egzystencję. Krótko mówiąc, walczących o to, żeby w socjalizmie dawało się żyć. Nie wiem, czy jakiś tekst czytany kiedykolwiek w polskiej prasie zrobił na mnie większe wrażenie niż *Na spotkanie ludziom z AK*. No, może felietonistyka Jana Rema z okresu stanu wojennego, drukowana w „Tu i Teraz”, która utwierdziła mnie w przekonaniu, że w socjalizmie żyć się nie da.

Geologia to jednak nie był czas całkowicie stracony. Przeciwnie, towarzystwo miałem na studiach całkiem malownicze. Na przykład jeden z kolegów miał przezwisko Futerał i słynął z ogromnego przyrodoznanstwa. Opowiadano o nim, że na zajęcia WF-u przywiązuje sobie ten instrument do nogi, aby nie przeszkadzał mu w bieganiu. Na obozie wojskowym w Braniewie, kiedy raz w tygodniu prowadzono kompanie geologów do łaźni, zbiegała się cała kadra oficerska, aby oglądać niezwykłego studenta z Warszawy.



Koledzy geolodzy w Górach Sowich – w przeciwieństwie do mnie traktowali studia poważnie. Od lewej: Leszek Mrowiński, Staszek Ostaficzuk, Jacek Szymanko (tyłem)

Jak zostałem bajzelmama



Najpiękniejszy dzień mego życia – po raz pierwszy skoczyłem cztery metry, 1958

Rozdział 3

Nieudana dezercja z frontu ideologicznego

Zanim doszło do mojej nieudanej próby dezercji, zdarzył się Marzec '68. Wtedy po raz pierwszy poczułem obrzydzenie do dziennikarstwa i próbowałem się z nim rozstać. Od prasy władza domagała się potępienia wichrzycieli, a względna przyzwoitość polegała na tym, żeby nie brać udziału w nagonce na syjonistów. Ten eufemizm używany w walce frakcyjnej, wymyślony bodaj jeszcze przez Stalina, ukrywał ordynarny antysemityzm. Im niżej, tym bardziej bezwzględnie towarzysze posługiwali się nim w walce o stołki.

Przyznać trzeba, że droga, jaką wybrałem, żeby zejść z pierwszej linii frontu ideologicznego, świadczyła o mojej naiwności. Poszedłem do ówczesnego szefa Studium Dziennikarskiego UW, a był nim Kazimierz Kąkol, czołowy gladiator w marcowych igrzyskach, i zapytałem go, czy nie zechciałby zatrudnić mnie w charakterze wykładowcy. Wydawało mi się, że po kilku latach pracy w trzech najważniejszych wówczas tygodnikach – „Przeglądzie Kulturalnym”, „Polityce” i „Kulturze” – mam wystarczające doświadczenie. Uznałem, że Kąkol za dobrą monetę przyjmie moje tłumaczenie, że po tych kilku latach czuję się zmęczony. On był jednak za cwany na takie bajki. Doskonale rozumiał, że zdarzają się osobnicy, w których ideologia marcowa musi budzić wątpliwości. Wyczuł moją słabość i zawiadomił o tej próbie dezercji Wilhelmięgo.

kartki – pomyślałem: dobra nasza. Rokoszewski dojechał do końca i z wyrazem zawodu na twarzy powiedział: „To nie na miarę waszego talentu”. A gdy dodał: „Przepracujcie to” – kamień spadł mi z serca.

Nie schodziłem, lecz sfrunąłem z szerokich, marmurowych schodów gmachu KC. Czułem się jak narciarz po czystym przejeździe slalomu, jak łyżwiarz figurowy po wykonaniu bez zachwiania serii piruetów, skoków, spiral i podnoszeń.

Intryga obmyślona przez Głowę – aby dostarczyć władzy coś, czego nie będzie w stanie strawić, ale też nie będzie mogła zakwalifikować jako aktu nieposłuszeństwa – powiodła się nadzwyczajnie. Ograłem ich. Byłem górą i to tanim kosztem. Ocaliłem dobrą opinię i nie straciłem posady. Znalazłem się niebezpiecznie blisko granicy, poza którą ta gra mogła mi się zacząć podobać. Kilka tygodni później do „Kultury” zgłosił się Wiesław Górnicki. Nakopał Kisielewskiemu, używając całej potęgi swego talentu.

Za parę miesięcy, na własne życzenie, opuścę „Kulturę”. Rozpocznę pracę w redakcji sportowej telewizji. Naiwnie mniemając, że rozstaję się z frontem ideologicznym na zawsze.



Przed „Czytelnikiem” na ulicy Wiejskiej, 1975. Od prawej: Ewa Zadrzyńska,
Jerzy Lisowski, Jan Pietrzak, ja

Rozdział 5

Schronienie na Woronicza

Jak wiadomo, Polak marzy, żeby u nas było tak pięknie jak na Zachodzie. W „Kulturze” też o tym marzyliśmy, a w latach siedemdziesiątych zrobić sobie w Polsce Zachód było jeszcze trudniej niż dziś.

Im było trudniej, tym bardziej chcieliśmy robić sobie Zachód. Pamiętam rozmowę na początku stanu wojennego, kiedy jeden z moich przyjaciół, podobnie jak ja przygnębiony sytuacją, tłumaczył mi, że właśnie teraz nie ma wyjścia, tylko trzeba sobie w Polsce zorganizować Country Club. Country Club to miejsce, gdzie spotykają się wytworni ludzie, grają w golfa i tenisa, piją eleganckie drinki i jedzą wykwintne kolacje. Do Country Clubu zwykły człowiek nie ma wstępu – to miejsce azylu, wyspa spokoju i dostatku odizolowana od otaczającej brzydoty, ubóstwa i braku manier.

Mój przyjaciel uznał, że świata dookoła nas zmienić się nie da, na ulicach zawsze będzie ZOMO, w telewizji prezenterzy w mundurach, a w sklepach kartki. Trzeba się z tym pogodzić, oddzielić od tej ohydy, stworzyć sobie życie w kokonie, w którym bytowanie będzie znośne.

Podobnie jak mój przyjaciel byłem człowiekiem małej wiary. Sądziłem, że na realny socjalizm skazany jestem dożywotnio. Że do końca moich dni będzie rządzić partia złożona z cyników albo idiotów. I że ci cynicy razem z idiotami nadal będą skutecznie wmawiać

Polakom, że to dla ich dobra podjęli niewdzięczny trud zarządzania krajem *prywislańskim*, w imieniu mocarstwa, które wynegocjowało sobie w Jałcie koncesję na władanie naszą częścią świata.

Wyobraźnię mam marną, więc mój umysł nie potrafił przedstawić sobie, że może być inaczej. Ale miałem inną wizję własnej przyszłości niż mój przyjaciel. Nie chciałem korzystać z wygód Country Clubu działającego za pozwoleniem władz bantustanu. Przez lata dojrzywało we mnie przekonanie, że bantustan należy opuścić. Stan wojenny mnie w tym utwierdził.

Ale w roku 1980 jeszcze tak nie myślałem, robiliśmy więc Zachód na miarę naszych możliwości. Na początku tego roku w całej prasie światowej roilo się od przepowiedni i przewidywań, co nam przyniesie nowa dekada, więc w „Kulturze” postanowiliśmy zrobić to samo. Zaprosiliśmy do redakcji grono – jak to się dzisiaj mówi – autorytetów i te autorytety zapytaliśmy, jaka będzie przyszłość świata. Martwili się bardzo, że zabraknie żywności i energii, ale najbardziej niepokoił ich zły stan stosunków Wschód–Zachód, bali się wojny światowej. Szczególnie uczestniczący w dyskusji doradca ekonomiczny Edwarda Gierka, człowiek obyty, bo kilka lat pracował w Genewie, mocno straszyl: „Świadomość zagrożeń jest powszechna nawet wśród najbardziej zblazowanych dyplomatów. Może być tylko jedno rozwiązanie, bardzo daleko idący kompromis”. Inny dyskutant nie tracił nadziei: „Sądzę, że jest jeszcze możliwość załatwienia pewnych spraw w układzie bipolarnym (...) między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi. Tak jak to nastąpiło po drugiej wojnie światowej”. Jednym słowem, jedyny ratunek to nowa Jałta, a jak nie, to wojna.

Przypominam: to był początek 1980 roku, wchodziliśmy w nowe dziesięciolecie, a od powstania „Solidarności” dzieliło nas zaledwie kilka miesięcy. W końcu dekady rozebrany zostanie mur berliński i upadnie imperium radzieckie. Układ bipolarny, w którym tyle nadziei pokładali dyskutanci, przestanie istnieć. Że przed nami gwałtowny wiraż, że już niedługo świat wyskoczy z szyn, po

których poruszał się przez ostatnie czterdzieści lat – tego żaden mędrzec nie przewidział.

Mnie też to do głowy nie przyszło, ale miałem coś na kształt przeczucia, że mój czas w „Kulturze” się kończy. Przestrzeń do lawirowania między oczekiwaniami Wydziału Prasy i mojego głównego prześladowcy, towarzysza Marca, a ambicją robienia przyzwoitej gazety, kurczyła się gwałtownie. Gdzieś pod koniec 1979 roku nasi polityczni opiekunowie zrobili ocenę, z której wynikało, że są tygodnie, w których pod względem liczby materiałów zdjętych przez cenzurę wyprzedza nas tylko „Tygodnik Powszechny”. Niepokoiło to także naszego szefa Dominika Horodyńskiego, ale on dyskretnie dawał do zrozumienia, że to wszystko wina młodego, politycznie niewyrobionego zastępcy, czyli moja, i to do mnie dzwonili niższego szczebla instruktorzy z Biura Prasy, z łagodnymi, ale uporczywymi wymówkami.

Z samą cenzurą mieliśmy zresztą nie najgorsze układy. Dominik miał dobre stosunki z dyrektorem Departamentu Prasy, Andrzejewskim, ten nie chciał mu nadmiernie szkodzić. Według obowiązującej pragmatyki każda ingerencja była odnotowywana i umieszczana w sprawozdaniach. Dzięki nim władza dowiadywała się, które redakcje przysparzają jej najwięcej kłopotu. Andrzejewski zgodził się, by teksty wątpliwe przysyłać mu wcześniej do czytania. Po koleżeńsku sugerował poprawki i dopiero tak przyrządzony i oczyszczony artykuł przedstawialiśmy cenzorom drogą oficjalną. Dzięki temu zmniejszała się liczba naszych grzechów w oficjalnych raportach wysyłanych z cenzury do KC.

Na początku 1980 roku Andrzejewski posunął się tak daleko, iż poinformował nas dyskretnie, że szykuje się lekkie złagodzenie kursu. Zbliżał się zjazd partii i władzom chodziło o pobudzenie dyskusji przedzjazdowej. Andrzejewski zachęcał, żeby skorzystać z okazji. W rezultacie udało się opublikować kilka tekstów, które sugerowały jakieś zdroworoządkowe reformy, ale natychmiast po zjeździe rzeczywistość wróciła do normy. Z naszych nieśmiałych

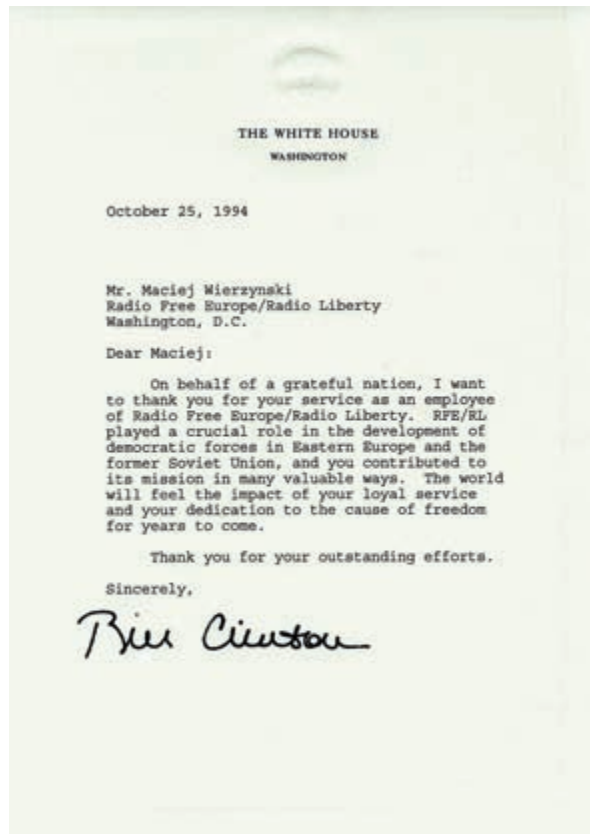
Rozdział 9

Szmatedistrict

Kiedys w Chicago amerykański socjolog Andrew Greeley, z którym robiłem wywiad dla polonijnego pisma „Relax”, uświadomił mi coś, co po latach wydaje się całkowicie oczywiste. Powiedział mianowicie, że cierpienia emigranta biorą się głównie z poczucia degradacji, deklasacji, utraty statusu społecznego. Pocieszył mnie jednak, że powrót do utraconej pozycji jest możliwy, ale trwa około ośmiu lat. Było to na początku mojej emigracji i czekanie przez osiem lat wydawało mi się wiecznością.

Gdyby osiągnięcia emigranta mierzyć tytułami na wizytówkach, to mnie poszło bardzo szybko. Na ostatniej posadzie w Polsce dosłużyłem się rangi zastępcy naczelnego. W Chicago na taki sam tytuł zapracowałem po niecałych dwóch latach. Jesienią 1986 roku zostałem zastępcą naczelnego w „Dzienniku Związkowym”, najstarszej gazecie w języku polskim w Stanach Zjednoczonych. Brzmi to nieźle, ale zajęcie było tak samo upokarzające, jak praca u ponurego wydawcy, który nigdy nie wypłacał pełnej tygodniówki. Tłumaczył, że nie ma drobnych.

Wypłaty w „Dzienniku Związkowym” były wprawdzie regularne, ale nędzne. Mieliśmy też zagwarantowany urlop: tydzień w roku. Był również plan emerytalny, ale jego dobrodziejstw nie doświadczyłem. Zapamiętałem natomiast bardzo dobrze, że praca tam to były galery. Gazeta jest własnością największej w Ameryce



Podziękowanie od „wdzięcznego narodu amerykańskiego” za pracę w Radiu Wolna Europa podpisane przez prezydenta Billa Clintona



Jako szef polskiej sekcji Głosu Ameryki witam pierwszą damę Hillary Clinton
w siedzibie radia w Waszyngtonie, 1998

Rozdział 12

Ostatni gasi światło

W tygodniku „Kultura”, w którym spędziłem piętnaście lat życia zawodowego, było dwóch wybitnych felietonistów. Jeden podpisywał się Hamilton, a drugi KTT. Hamilton to był Jan Zbigniew Słojewski, a KTT – Krzysztof Teodor Toeplitz. W czasach, kiedy w „Kulturze” sprawowałem niewdzięczną funkcję sekretarza redakcji, wpadali czasem na siebie w moim pokoju, a ponieważ nie bardzo się lubili, wymieniali zawoalowane impertynencje. Toeplitz, który był świetnie zorganizowany i nigdy nie spóźniał się z tekstami, rzucił kiedyś niby do mnie, ale tak bardziej w przestrzeń, żeby Hamilton usłyszał, uwagę:

– Dlaczego ty mu płacisz więcej niż mnie? Masz z nim kłopoty, nigdy nie wiadomo, co przyniesie. Nie wiadomo, ile napisze, zawsze na ostatnią chwilę.

Słojewski miał głos skrzekliwy, więc odskrzeczał:

– Oczywiście że dostaję więcej, bo ja nad tekstem ciężko pracuję. Pan siada na godzinę i felieton jest gotowy, a ja pracuję cały tydzień.

– No to może powinien pan robić coś innego. Pisanie to nie jest robota dla pana – zrewanżował się Toeplitz.

I tak sobie gwarzyli tytani felietonu, a był to gatunek w tamtych czasach niezwykle ceniony. Ze stałego felietonu w tygodniku można było nieźle żyć. Dziś – myślę sobie – taka rozmowa pewnie byłaby w ogóle niemożliwa. Honoraria w gazetach są

Rozdział 14

Przyjaciele

Siedzę sobie w *chalet* w miejscowości Morillon we francuskich Alpach. Pogoda, jak to w górach, zmienna, dziś akurat ohydna. Wieje ciepły wiatr, zacina deszcz i śnieg ginie w oczach. Przez całe lata marzyłem, żeby w takim *chalet* w Alpach spędzić chociaż jeden dzień. I wreszcie trafiło mi się, ale na starość łamią mnie kości i na narty wybieram się bardziej z obowiązku niż dla przyjemności. I żeby nie robić przykrości synowi, który ten *chalet* wynajął, przekonany, że spełnia marzenie mego życia. Jak zwykle wszystko, co dobre, przychodzi za późno, kiedy już brak siły, żeby z tego w pełni korzystać.

Odwrotnie jest z przyjaźnią. Moje przyjaźnie przyszły wcześniej, ale dziś już nie mogę cieszyć się nimi, bo mi w sporej części przyjaciele poumierali.

Wiosną 1958 roku świeciło słońce i kwitły magnolie. Na dziedzińcu Uniwersytetu przed budynkiem BUW-u siedzieliśmy z kolegą ze szkoły Januszem Głowackim, który namawiał mnie na wyjazd na narty na Halę Gąsienicową. Janusz bardzo zachwalał towarzystwo, które tam spotkam. Miało być dwóch – jak się wyraził – uziemiaczy: Robert i Milesio. Obaj mieli po dwa metry wzrostu i cios zwalający z nóg. Janusz trenował wtedy boks, więc lepszej zachęty nie mógł wymyślić. Robert i Milesio, mimo potężnego wzrostu i atletycznej budowy, na moich oczach nigdy



Tomasz Hopfer w *Studiu Olimpijskim*, Igrzyska Olimpijskie w Montrealu, 1976



W mieszkaniu Bogdana Łopieńskiego za Żelazną Bramą, 1972. Z lewej Tomek Łubieński, z którym pisaliśmy powieść w odcinkach

Rozdział 15

Rodzina

„W 1912 roku pracownik kolei, Andreas Wirstlein, w swoim drugim małżeństwie żonaty z Polką, złożył na ręce kompetentnej władzy podanie o zmianę nazwiska na Andrzej Wierzyński. Zapewne spełniał w ten sposób życzenie synów, którzy jako polscy patrioci chcieli zatrzeć wszelkie ślady obcego pochodzenia. Stary Wirstlein był najpierw naczelnikiem dworca, potem dopiero Niemcem lub Polakiem. Świadczy o tym zdanie, które w październiku 1913 roku włożył w jego usta drohobycki tygodnik: »Czy Wierzyński, czy Wirstlein, to jest alles Wurst«”.

Andreas Wirstlein to mój pradziadek, a cytat pochodzi z książki Martina Pollacka *Po Galicji*. Za swój wybór dokonany pod wpływem synów, których – jak się można domyślać – koledzy wyśmiewali z powodu niemieckiego nazwiska, stary Wirstlein i jego rodzina drogo zapłacili. W tomie poetyckim *Krzyże i miecze* poeta Kazimierz Wierzyński, syn Andreasa Wirstleina, zamieścił taką dedykację:

PAMIĘCI

mojej matki, Felicji,
zmarłej w Warszawie w 1944 r.

Maciej Wierzyński (ur. w 1937 r.) – dziennikarz i publicysta. Karierę zawodową rozpoczął w 1961 roku w „Przeglądzie Kulturalnym”. Po likwidacji „Przeglądu” trafił do „Polityki”, skąd w 1965 roku przeniósł się do „Kultury”, w której w latach 70. był zastępcą redaktora naczelnego. W tym czasie rozpoczął współpracę z Telewizją Polską. Kiedy jego działalność w „Kulturze” wywołała niezadowolenie u twórców propagandy sukcesu PZPR, przeniósł się do redakcji sportowej TVP, a w 1981 roku do *Studia 2*. Zwolniony z TVP po wprowadzeniu stanu wojennego porzucił dziennikarstwo i zaczął pracować jako taksówkarz. W roku 1984 wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Początkowo był wizytującym wykładowcą na uniwersytetach Stanford i Penn State, następnie zarabiał jako taksówkarz, równocześnie publikując teksty w prasie amerykańskiej i polonijnej. W Chicago założył pierwszy polskojęzyczny kanał telewizyjny Polvision. W latach 1989–1994 pracował w rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa w Monachium i Waszyngtonie. Przez kolejne 6 lat kierował polską sekcją Głosu Ameryki w Waszyngtonie, a w latach 2000–2005 „Nowym Dziennikiem” w Nowym Jorku. Wrócił do Polski w 2005 roku i od tej pory związany jest z TVN24, gdzie stworzył magazyn spraw międzynarodowych *Horyzont*. Autor tomu rozmów z Janem Karaskim pt. *Emisariusz. Własnymi słowami*.